

Maria Konopnicka



Moi  
znajomi

Maria Konopnicka

Moi znajomi

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

Maria Konopnicka  
„Moi znajomi”

Copyright © by Maria Konopnicka, 1904  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy  
Projekt okładki: Adam Brychcy  
Druk: W. L. Anczyc i Spółka  
Wydawnictwo: Gebethner i Wolff  
Warszawa, 1904

ISBN: 978-83-8119-395-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## MARTWA NATURA

Żałuję, bardzo żałuję, że wam nie mogę powiedzieć, jak wyglądał, gdy stał lub chodził, jakie miał poruszenia rąk i głowy, czy grzbiet jego był pochyły, czy prosty, a nadewszystko, jaki miał głos i spojrzenie. Nie dlatego, broń, Boże, iżbym z tych rzeczy sekret robić chciała, ale dlatego, że go poznała w chwili wyjątkowego spokoju, kiedy głowa jego spoczywała nieruchomie, oczy były zamknięte, ręce skrzyżowane, a w piersi nie tylko głosu, ale i tchu już nie stało. Poznałam go w trumnie.

Trumna to była prosta, sosnowa, czarno bajcowana, z krzyżem blaszanym, płasko na wieku przybitym, a po obu jej stronach stały cztery świece, w ciężkich cynowych lichtarzach, należących do rekwizytów szpitalnej kapliczki. Zapalono je w ostatniej chwili, właśnie kiedy trzęsący się po nierównym bruku karawan jednokonny przed kapliczką stanął, a karawaniarz zlął z kozła, aby poodpinać z guzików podjęte dla oszczędności brzegi całunu, obejmującego drewnianą podstawę wozu.

Jednocześnie skrzypnęła szpitalna brama, a w niej ukazał się stróż, do którego karawaniarz zaraz podszedł, wziął tabaki, zażył akuratnie, kichnął, a obtarłszy nos i wąsy rękawem żałobnego płaszcza, gawędzić zaczął, z czego korzystając koń karawaniarski, łeb spuścił, kiwnął nim kilka razy i przymrużywszy krwawe ślepie, zasnął.

Tymczasem odezwała się szpitalna sygnaturka głuchym, bezdźwięcznym brzękiem, posługacz drzwi kapliczki z wewnątrz otworzył, a garstka przechodniów, która się na widok karawana

zatrzymała na przeciwległym trotuarze, z pośpiechem do nie weszła. Było tego z dziewięć, dziesięć osób. Dziadek żebrzący w starym żołnierskim szynelu, stróżka z trzeciej kamienicy, praczka z przeciwka, chłopak niosący szewskie kopyto, kupka dzieci, jegomość, który z podniesionym kołnierzem i uśmiechem mizantropa wyszedł z narożnego szynczku, wreszcie chłop w płótniance, bosy, ogorzały, obu powalanemi gliną rękami przyciskający wyrudziałą czapkę do odkrytej piersi.

Kobiety wchodząc żegnały się, przystępowały bliżej do trumny i klękały z głośnym a obojętnym westchnieniem; mężczyźni zatrzymywali się u proga, odpowiadali «na wieki» dziadkowi i brali od niego tabakę. Co zaś do dzieci, te rozeszły się zaraz ze szmerem po kątach, dotykając palcami lichtarzy, czarnego drewnianego pudła, na którym trumna stała, i ścian, po których martwej bieli ślizgał się żółty odblask czterech, chwiejących się lekko nad cienkimi świecami, płomyków. Sygnaturka wciąż brzęczała fałszywym, rozbitym głosem...

Wtem bocznymi drzwiami, które łączyły kapliczkę z korytarzem szpitalnym, weszła zakonnica, tęgiej przysadzistej budowy, przyklękła przed umieszczonym w szczytowej ścianie krzyżem i zaraz powstawszy energicznym, prawie żołnierskim ruchem ku drzwiom się zwróciła. Tuż za nią weszło dwóch posługaczy, którzy też poklękawszy, przeżegnali się i stanęli gotowi trumnę brać a nieść.

Widocznem to było, że tutaj czasu na żadne bałamuctwa niema. Masz się rodzić, to się ródź, masz umierać, to umieraj, a jeśli chcesz być pochowanym, to zaraz, bo tam się już dziesięciu innych rodzi i umiera.

Wszystko to wyczytać było można z bystrego spojrzenia

siwych oczu, które zakonnica z pewną niecierpliwością ku drzwiom wchodowym zwróciła.

Tymczasem obecni ruszyli się, aby «dobrodzikę» ucałować w rękę, najpierw dzieci, potem starsi. Chłop tylko pozostał u proga, a szeroko otwarte oczy jego, patrzyły przed siebie tępo, bezmyślnie.

— Kto to umarł Dobrodziuniu? — zagadnęła stróżka.

— To tam jeden! — odrzekła niedbale zakonnica, machnąwszy ręką w szerokim rękawie i nie patrząc nawet na mówiącą. Istotnie. Tam, gdzie umierają setki, cóż taki jeden znaczyć może?...

— A dzieci zostały? — pytała dalej stróżka.

— A jakże! Coś troje tego, czy czworo...

Zakonnica wzruszyła ramionami, jakby w politowaniu nad zaślepieniem tych, co umierając, zostawiają dzieci; oczy jej przecież zaszły troską o losy tych trojga czy czworga.

Stróżka i praczka zaczęły wzdychać i kiwać głowami.

W tej chwili właśnie, potknąwszy się o wysoki próg kapliczki, wpadło do niej troje dzieci. Szły widać śpiesznie i z daleka, bo twarze ich były spocone i silnie rozgrzane.

Najstarsza, dziesięcioletnia może dziewczynka w szarej, zniszczonej sukieneczynie, w płaskim opasanym czarną wstążką kapeluszu i mocno przydeptanych trzewikach, trzymała za ręce dwóch chłopców, z których młodszy, z pięć lat może liczący, ledwo nadążał za nią, kołysząc się na swoich koszlowych nożętach. Obaj chłopcy trzymali łyczkowe kapelusze w ręku, włosy mieli jak szczotki do góry stojące, a na szyjach wielkie czarne kryzy, które żałobnie odbijały od połatanych kolorowych

kurtek i spodeńków. Szli mocno stukając płytkimi trzewikami, obutymi na bose ogorzałe nogi.

— A chodźcie no prędzej! — kiwnęła na nich stojąca przed trumną zakonnica. — Czemuż to tak późno? A babka gdzie?

I nie czekając odpowiedzi, pociągnęła dziewczynkę za rękaw.

— Uklękniście tu i zmówcie pacierz. Trzy Ojczy nasz, trzy Zdrowaś i trzy razy Wieczny odpoczynek. Tylko prędko!

Chłopcy patrzyli na zakonnice wystraszonym wzrokiem: na śniadą twarz dziewczynki wybił gwałtowny rumieniec, usta jej się zatrzęsły, a oczy napełniły łzami.

— Czy to córka? — spytała znów półgłosem stróżka.

— A córka, najstarsza córka.

— A matkę mają?

— Gdzie zaś tam mają! Jeszcze w jesieni tu u nas umarła.

— To i na co mu się, Dobrodziuniu, zmarło? — pytała praczka.

— A Bóg go tam wie, moja pani. Na suchoty, czy co. Kaszłał, kaszłał, aż i umarł.

— Czy to profesyant? — przemówił jegomość z podniesionym kołnierzem, skubiąc żółtą bródkę.

— Jaki on tam profesyant! — wzruszając ramionami odrzekła zakonnica. — Posłaniec był, nie żaden profesyant.

— No, dzieci, już? — spytała, zwracając się do klęczących.

Dziewczynka i teraz jeszcze braci za ręce trzymała, wlepiwszy w trumnę oczy, z których padały wielkie jasne łzy na jej szarą, zniszczoną sukienkę.

Sieroty zerwały się jak na komendę.



— To już czekać niema co — mówiła dalej zakonnica. — Kiedy babka nie przyszła, to widać już nie przyjdzie. Dalej, bierzcie!

Rozkaz odnosił się do posługaczy, którzy po obu bokach trumny stanąwszy, sięgnęli po nią.

Wtem ode drzwi dał się słyszeć stukot kija, szukającego drogi dla starych nóg, na wpół oślepej kobiety, która przecież sama szła, szeroko otworzywszy zbiegłe źrenice i macając przed sobą chudą, wyschlą ręką.

— Babka, babka!... — poszedł szept od progu, a gromadka rozsunała się na obie strony.

— Dalej, babusiu! Dalej, dajcie rękę! — przemówiła z żywością zakonnica, chcąc ślepa podprowadzić do trumny.

Ale stara kobieta zatrzepała w powietrzu wyschlami dłońmi.

— Nie trzeba, nie! Ja wszystko widzę. Ja sama... wszystko widzę! — Kazia! Jesteś tu, Kazia? — dodała zaraz suchym, twardym głosem.

Dziewczynka puściła chłopców i do babki podszedłszy, pocałowała ją w rękę.

— Cóż? — pytała stara — zamknęli już ojca? — Co?

— Zamknęli, babusiu... I dziecko wybuchnęło niepoohamowanym płaczem.

— No to niechże otworzą! Niechże otworzą jeszcze! Pod głowę mu oto przyniosłam... Ma być pochów, to niech będzie pochów...

I rozwinęła przed sobą trzęsącemi się rękami, kawałek oszytego szlarką perkalu, do którego czterech rogów przyczepione były kokardki z lichej białej wstążki.

— Pod głowę przyniosłam... Niechże otworzą...

I szła prosto na trumnę, szerzej jeszcze otwierając oślepię oczy, aż rękoma jej dotknąwszy o krok się cofnęła z głuchem jakimś mruczeniem.

— Kazia! — zawołała znowu, ale głos jej złamał się nagle, a usta zapadłe w milczeniu poruszać się zaczęły.

Zakonnica kiwnęła na posługaczy. Jeden z nich zsunął z trumny nieprzybite jeszcze wieko.

Wtedy to ukazała mi się woskowo-żółta twarz zmarłego, do której przywarł jakiś wyraz twardy i posepny. Na zapadłych piersiach złożone były ręce, w których tkwił papierowy, jaskrawo malowany obrazek, wyciągnięte nogi strasznie wypoczywały po wszystkich kursach z «listem» i «z posyłką».

Obecni zaczęli się przysuwać i wspinać na palce.

Wtedy drugi z posługaczy podłożył ręce i podniósł w połowie trupa.

— Dawaj pani, bo ciężko! — przemówił do starej.

Ale stara nie puszczała chusty.

— Gdzieżbym ja komu?... Ja... matka — mruzczała, stukając grubym swoim kijem po stopniach wzniesienia. — Gdzieżbym ja komu... Sama rodziła, sama i na śmierć ułożę...

Nie mogła wszakże wejść. Czy sił jej nagle zabrakło, czy chwiejące się stopnie dostatecznej nie dawały podpory, że nie mogła.

— Kazia!... Kazia... prowadź! — rzekła zmienionym głosem.

Dziewczynka podbiegła i wpół objęła starą.

— Tu babusiu, tu... — mówiła, kierując rękami ślepej. Tu... o tu, głowa...

— Dalej, kładź pani prędzej, masz pani kłaść! — wołał

niecierpliwie posługacz.

Stara kobieta zdawała go się nie słyszeć. Kij puściła na ziemię, a wsunąwszy wyschłe ręce w trumnę, zaścielała poomacku ostatnie dla syna posłanie.

— Szpitalnego pochowu się bałeś — mruzczała półgłosem — a ot tobie, synku, własny pochów, nie szpitalny... Nie pójdziesz do wspólnego dołu, nie bój się, nie... Trumnę własną masz, płatną, nie borgowaną; pokładne zapłacone. Na dwadzieścia lat, synku, komorne w poświęcanej ziemi... Karawan masz, cztery świece masz, wszystko masz. Piętnaście rubli wydałam, synku... Dla ciebie, nie dla siebie. Dla siebie nic nie schowałam, nic, synku! Jak ty wpierw, tak co mnie po tem?

Mówiła to z jakąś bolesną dumą, trzęsąc głową siwą.

Obecni wzdychali. Zakonnica odmawiała głośno Pater noster, zasunąwszy ręce głęboko w rękawy.

— No! włożyła pani, czy nie włożyła? — ofuknął posługacz, i nie czekając odpowiedzi, trupa na ręce ślepej puścił.

— Oh! oh!... — jęknęła nagle i pochyliła się cała nad trumną. — Oh! oh!... Weź mnie, Józef, do domu! Do wiecznego domu...

Siwa jej głowa mocno trząść się zaczęła, a łyzy ciężkie, grube padały na piersi syna. Chwilę trwała cisza, wśród której słychać było szlochanie kobiet. Dzieci patrzyły wystraszone, zakonnica zaczynała Ave.

Nagle wyprostowała się ślepa.

— Kazia! — przemówiła znów dawnym swoim twardym głosem — a dajno dzieci! Niech pożegnają ojca.

Dziewczynka dźwignęła z wysiłkiem młodszego do wysokości trumny.

— Pocałuj, Maniuś ojca w rękę — rzekła dysząc ciężko. — Ale malec z przestachem odwrócił twarzą od wnętrza trumny.

— Dalej! Pocałuj, kiedy mówię — nalegała trzymająca go w powietrzu siostra.

Wtem babka wyciągnęła rękę i natrafiwszy na głowę wnuka, przycisnęła ją do złożonych rąk zmarłego.

— Julek — rzekła dziewczynka, puściwszy młodszego brata — pójdź ty teraz, pożegnaj ojca.

Starszy chłopiec sam się wdrapał i wspiąwszy się na palce pocałował rękaw ojcowski.

Babka i tę głowinę przycisnęła do piersi trupa.

— Patrz, a pamiętaj sobie — mówiła — że choć twój ojciec w szpitalu umarł, ale równo pochów miał własny... Trumnę miał, wszystko miał... Żebyś to sobie pamiętał!

— O la Boga! — niecierpliwili się tymczasem posługacze. — Żeby tak człowiek ze wszystkimi takie termodyje miał, toby nie stało czasu i na połowę tego, co się teraz przez ręce przewinie.

Dziewczynka pociągnęła babkę za sobą. Zaraz też dało się słyszeć kilkanaście uderzeń młotka przytwierdzających wieko trumienne.

— A blacha? Gdzie blacha? — zapytała stara.

Wyjęto blachę z kąta.

Powiodła ręką po trumnie i wskazała miejsce.

— Tu... tu przybić! A kapa na wierzch!

Kapą nazywała kawałek perkalu, który wychodził z trumny.

— Kazia! — dodała. — A patrz tam, czy aby prosto przybijają. Bo to wszystko płatne... I wstążkę żeby było widać!

Dwa uderzenia młotka przytwierdziły w tej chwili blachę, na

której był napis:

Śp. JÓZEF SZCZEPTEK

poślaniec miejski

żył lat 43

Dokładniejszej rekomendacji przy pierwszym zapoznaniu się, trudno było wymagać.

— Dalej go!... Na prawo! Nie tak! Z tej strony! Pod górę! Dość! — wołali kolejno obaj posługacze, poczem trumnę wynosić zaczęto.

Dziad stęknął w tej chwili i głośno zaczął mówić wieczny odpoczynek. Liczył na uznanie obecnych.

Dosłyszawszy go stara zaniepokoiła się i po kieszeniach szukać zaczęła.

Nie mogła wszakże nic znaleźć.

— Jeszcze gdzieś... — mruzczała — był grosz... czy dwa...

Zbliżyłam się, podając dziewczynce trochę drobnej monety.

Mała zrozumiała i nie dziękując wzięła z niej dwie sztuki i podsunęła je babce.

— Jest, babusiu... — rzekła — jest...

Ślepa podniosła wysoko głowę i wyciągnęła rękę.

— Na! macie! — rzekła. — Za duszę Józefa!

A nie gadajcie, żeście darmo pacierz mówili. Jak ma być pochów, to niech będzie!

I z podniesioną głową wyszła powoli z kaplicy, stukając przed

sobą kijem.

.....

## URBANOWA

Ktoby to pomyślał, że nazwisko, które potem tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezji, usłyszę po raz pierwszy w kuchni, z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak było i to z okazji stłuczonego garnka.

Wogóle garnki tłukły się u nas, jakby na komendę. Z rana bowiem Urbanowej «czegoś się ręce trzęsły», w południe «wszystko jej z rąk leciało», wieczorem zaś «cała nie mogła». Jeśli zaś przypadkiem «mogła», to zwykle wtedy «musiała duchem skoczyć naprzeciwko», poczem w kuchni bywało prawdziwe pobojuwisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już od dawna, od bardzo dawna, nikogo... W obecności jej bowiem nie odważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek stłukł. Na to były specjalne określenia, których liczba mnożyła się co dzień, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się «oberznąć», «okroić», «pęknać», «wyszczzerbić», «utrącić», «wyślizgnąć», lub zgoła «klapnąć». Przy takim bogactwie wyrażen, malujących każdy pojedynczy przypadek, już nie wiem, coby za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tem, jako został «stłuczony».

A ponieważ żaden stłuczony nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów rzędami ustawionych,

miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nie tylko swoje miejsce, ale także i swoją historię.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich wzdychając i kiwając głową.

— Jeszczebyś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka... Garnek był jak rzepa... Taki dzwon miał, że to ha!

Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garncowy garnek... żebyś tak zdrowa była! Jaka to polewa!... On jeszcze dziś więcej wart, niż drugi cały...

Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze, poczem sięgała po trzeci.

— Na kanonickim rynku go kupiłam... Dziś sześć tygodni... Nie, łzę!... Dziś pięć tygodni i trzy dni... Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żebyś tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię... Żeby się nie był utracił, toby do roku wytrzymał... Garnek jak szkło...

Z kolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którędy on ciecze?... A ciecze, choroba!...

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawiać miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz babo, redutę! — wołała Urbanowa, uderzając, w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś załśnuł!... Nienastarczone rzeczy z temi skorupami... No, i rób

co chcesz! Taki nowy garnek... A bodajżeś zmarniał!... Pólsiodma czeskiego dałam... Tygodnia jeszcze nie ma... A żeby to choroba, z takim gospodarstwem!... Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu niema, tylko same skorupy...

Jakem była u państwa Asnyk, to tam nijakich skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi, jak wybrane... Żebym tak jutra doczekała, jak nie łżę... Same żelazne!... Żebym tak mego Jaśka szczęśliwie wychowała!...

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było w kółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk było tak a tak, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nienawykła... słowem gotowy prejudykat na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy, dla świętego spokoju, robiło się u nas tak, jak «u państwa Asnyk».

Jedne żeleźniaki szły jakoś oporem, gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

Stąd powstawały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiedz, lubo byłam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierociego domu, pomiędzy odrabianiem lekcji do księdza Kubusiewicza, a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że skutkiem zupełnego w owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko «państwa Asnyk», rodziców poety, obrzydło mi tak, że go po prostu znieść nie mogła i uciekałam w ostatni kąt, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją Odyseję o żelaznych garnkach.



A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem codziennie, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyny wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły i nie tak jej wszystko z nich leciało i takiego trajkotania o «państwu Asnyk» nie było.

Od południa za to grzała Urbanowa wodę, czasem ług nawet, dobywała resztki z całotygodniowych obiadów, szykowała nici i łątki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to popłakując i wycierając nos w gruby kuchenny fartuch, a wyglądając co raz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasiek. Wysoki był, chudy, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pośpieszyńskiego. Lat miał może ze szesnaście. Przychodził zwykle brudny, odarty, z miną dziwnie wygłodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchańcem w bok lub w kark, gdzie się dało, wpychała go do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kuferku i patrzył osowiały to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne, a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie cienkie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego kufra...

Lubiłam bardzo Jaśka. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o «państwu Asnyk», a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapominałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale wlaższy na wysoki kuchenny stół, klękałam na nim, i zapatrzona w Jaśka, wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwyków wszakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

Ale ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaśka spencerek i kamizelczykę, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stołek, przyczem daje mu w kark raz, albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje szyję, głowę, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego? Czy że koszula była taka czarna jak sadze, czy że na grzbiecie chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wyłaziły przez skórę...

Wymywszy Jaśka, dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak szedł za komin, a gdy wylazł z tej kryjówki już obleczone, czesała go, szturkając w kark, jeśli nie dość głowę przychyłał, przyczem znów zaczynała płakać i nos wycierać co chwila. Po tej dopiero operacji dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiek jadł, łątała jego ubranie, popłakując i wzdychając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę od klucza było właśnie jak najrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiek zaczął mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe Anusine trzewiczki.

Miałam je dostać na gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiek był srodze czemś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilia Trzech Króli...

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i «Małgorzatką tańczącą z huzarami», ale prawdziwy teatr, z żywych mówiących osób, między którymi była śmierć, anioł

i dyabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsło się tak, że m głosu wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w mem życiu.

Trzeba było wszakże czekać długą jeszcze chwilę, zanim przedstawienie odbyło się na dole u gospodarza. Myślałam, że się to nigdy nie skończy. Rozległy się nareszcie po schodach ciężkie kroki, i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju weszli aktorzy, poprzedzeni przez straszliwie czarnego, z wywieszonym aż na piersi, czerwonym, sukiennym językiem dyabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Chwyciłam pokojówkę za kaftan. Dusza we mnie zamierała...

Za dyabłem wbiegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obciste do kolan pantalony, niebieską zarzucona na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i biret, z pięknem białem piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło z pod ściany, postawił na środku pokoju, poczem schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył. Król Herod wszedł chmurny, «w zamysłach», ze spuszczoną głową; miał długi, czerwony, widocznie z poszwy jakiejś zaimprovizowany płaszcz, berło w ręku i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś...

Tuż za nim wsunęła się nieludzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, z pod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w ręku stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże, zbrodniczym myślom oddany Herod,

a rozparłszy się w swojej trochę jeszcze zapierzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym dyalogiem.

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośne klaśnięcie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiek! Mój Jasiek! Mój król! Mój królewicz złoty!

I zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię, i w uniesieniu najwyższej radości, ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić z swej roli, próbował monologować dalej; nagle przecież głos mu się złamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy łzy, niby iskry srebrne, migały jedna za drugą...

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarknął, że się król «na nic zgapił». Śmierć radziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, tło zaś tej jedynej w swoim rodzaju sytuacji tworzył piskliwy, perliczy głos anioła, który od początku przedstawienia, w równych odstępach wyśpiewywał z za pieca: Gloria! Gloria, in excelsis Deo!

I znowu:

Gloria! Gloria, in excelsis Deo!

Co do dyabła, ten ani na chwilę nie stracił rezonu, ale stanąwszy przed królem Herodem, uderzył w podłogę wielkim czarnym drągiem, i brzęknąwszy łańcuchem zaryczał:

«Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!»...

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt, a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka, pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem

Urbanową na stronę, przedstawienie odbyło się szczęśliwie, aż do tej stanowczej chwili, kiedy król ścięty kosą śmierci, opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a dyabeł nadziewa go na widły mówiąc:

«Królu Herodzie! Za twe zbytki  
Pójdź do piekła, boś ty brzydki!»

.....

Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

Garnki wprawdzie po dawnemu się tłukły, ale o «państwie Asnyk» nie było tak często mowy. Za to czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— O la Boga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiek był królem! A on już ciecze, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sążeń drzewa zaczęli akurat trzy dni przed tem, nim Jasiek był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takim przekonaniem, jakby królestwo Jaśka było spełnionym faktem politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaśka od Pośpieszyńskiego odebrać, bo «co mu ta po siewstwie».

Jeszcze i w tem zaszła zmiana, że Urbanowa nie myła teraz króla Heroda sama, ale szturchnąwszy go na powitanie, nalewała wodę, dawała mu mydło do ręki i kazała samemu sobie «kosierować» — jak mówiła — uszy, twarz, szyję i głowę,

tylko stojąc nad nim pilnowała, żeby to zrobił «dokumentnie». Czesania przecież nie wyrzekła się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty, przybyła teraz i niedziela jeszcze.

W niedzielę po południu, uprzątnąwszy kuchnię, otwierała Urbanowa swój wysoki kufer i wydobywszy z niego monarszą Jaśka purpurę, tudzież koronę z pozłotką, kładła je na swoim łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na zwiędłych ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, to go prosiła:

— Mój Jasiek! Mój złocisty! Zawdziej-no na siebie ten ornat i koronę!... Niech ja się ciebie napatrzę! Niech ja się nacieszę!

Jasiek się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tem, że «zawdziewał» co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żebym tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się moi ludzie... Istny król!...

Był to wszakże ciągle jeszcze ten sam czarniawy, chudy, ospowaty drągał, tylko, że purpura coraz krótszą na niego się stawała.

Czasem też recytował swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Żaden, najgenialniejszy nawet tragik nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywa w blizkiej suterynie.

Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Od dawna już wprowadzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze bardzo ją lubiłam.

Kiedym weszła, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błąkały się dymy ze spalonego świeżo przez kumoszki «ziela». W pośrodku stała kupka kobiet, gwarząc półgłosem o różnych rodzajach śmierci. W głębi, na wysoko zasłanem kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa. Twarz jej zaszła już cieniem śmierci; nikły oddech ledwo piersi jej poruszał, oczy tylko z wyrazem błogości i zachwytu wzniesione były do góry.

Lewa jej ręka przytrzymała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaśka, który wstrząsany głuchem łkaniem, z twarzą ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy łóżku w królewskiej purpurze i złotej koronie na głowie.

Z pod purpury ukazywały się od dawna widać nie łątane przez matkę, stare spłowiałe spodnie i trepy na bosych, wychudzonych nogach...

## Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa  
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

